

Wojciech CHUDY

## INTELEKTUALIŚCI I MORALNOŚĆ

Wiele miesięcy po ukazaniu się na naszym rynku książki Paula Johnsona *Intelektualiści*<sup>1</sup> jeszcze wrzało. Pozycja stała się głośna: była omawiana w radiu i telewizji, znajdowała się też jakiś czas na szczycie list książkowych bestsellerów. Jednak w większości jej omówień (nie licząc kilku recenzji w pismach katolickich i konserwatywnych) wyraźny był ton niepokoju i irytacji. Można powiedzieć, że w polskich periodykach książka Johnsona wywołała wrzawę na podobieństwo zgodnego chóru. Był to chór niezadowolonych, zdegustowanych lub nawet oburzonych.

Co wywołało taką negatywną reakcję? Paul Johnson – znany współczesny historyk angielski – w trzynastu rozdziałach książki *Intelektualiści* opisał i zinterpretował życie i twórczość kilkudziesięciu pisarzy, naukowców i artystów, o których zwykliśmy mówić „wielcy” albo o których zwykli tak mówić inni. Postaci m.in. Rousseau, Tołstoja, Marksa, Brechta, Sartre’a, Mailera, Fassbindera, Chomsky’ego oraz – z tych mniej

znanych – Victora Gollancza, Lillian Hellman, Edmunda Wilsona czy Cyrila Connolly’ego ujęte zostały w książce w prawie niezmiennej strukturze: dzieło – życie (z dość silnym akcentem na stronę intymną) – spuścizna, czyli konsekwencje (filozoficzne, moralne, często społeczne). Na 424. stronach, w tym 25. stronach skrupulatnych przypisów dokumentujących, że autor wie, co mówi, oraz 14. stronach indeksu osób, Johnson spróbował uzasadnić kilka ogólnych twierdzeń. Z tych zaś najważniejsze to teza o istotnym wpływie intelektualistów wyrosłych z ideologii Oświecenia na katalizmy moralne naszego wieku oraz teza ukazująca jako źródło deformacji – zarówno bohaterów tej książki, jak i kultury XX wieku w ogóle – bezgraniczne oddanie się człowieka monoidi stworzonej mocą własnego spekulatywnego umysłu.

Sprawami zasadniczymi książki Johnsona są: niszczące – dla życia prywatnego, środowisk i społeczeństw – działanie pewnej formacji umysłowej; narastanie w dziejach kultury roli „intelektualisty świeckiego” (aż po służebność totalitaryzmowi); ewolucja tej po-

<sup>1</sup> Paul Johnson, *Intelektualiści*, tłum. A. Piber, „Edition Spotkania”, Warszawa 1994, ss. 424.

stawy, wreszcie last but not least nierozdzielność „prywatnego” oraz „publicznego” w tym typie działania. Gdy chodzi o tę ostatnią sprawę, nikt dotąd tak precyzyjnie jak Johnson nie ukazał owej niezwyklej a zarazem przerażającej koincydencji charakteru ludzkiego, idei oraz czasu historycznego, która umożliwia tak bezwzględne panowanie idei nad życiem ludzkim, że narzędziem jej promocji stają się przyjaźnie, małżeństwa, rodziny, a także uczciwość i prawda.

W książce *Intelektualiści* wiele miejsca zajmuje opis życia prywatnego bohaterów, w tym życia erotycznego. Wielu jej recenzentów miało za złe Johnsonowi, że mówi się o kłopotach genitalnych Rousseau, nadpobudliwości seksualnej Sartre’a i Russella czy orgiach Shelley’a. Zarzucano autorowi, że pisał o chorobach i ułomnościach wielkich ludzi, a także o niejasnościach czy wręcz matactwach finansowych geniuszy. Jednak trzeba przyznać, iż obszerna faktografia Johnsona przybliżyła ludzi-idee życiu, ziemi, i pozwala zrozumieć to, jak dochodziło do utożsamienia lub zastąpienia idei absolutnej absolutnym „Ja”. Jednocześnie ukazanie wielkości dzieła na tle codzienności twórcy uświadamia pewną znamioną, ale jakby w naszych czasach zapomnianą wartość. Chodzi o autorytet społeczny i o jego moralną odpowiedzialność.

Czym innym mianowicie – mówi Johnson – jest hołdowanie praktyczne złu moralnemu przez anonimowego obywatela, a czym innym programowe łamanie norm życia z drugimi przez osobę pretendującą do bycia autorytetem społecznym i mogącą tę pretensję realizować w praktyce. Nie ma tu różnicy od

strony złego postępowania, lecz od strony społecznego oddziaływania jest kolosalna. Gdy ktoś, kto na przykład zajmuje się budowaniem mostów, wie, że życie homoseksualisty, nie jest to dobrze z punktu widzenia moralnego, lecz prawdopodobnie most się od tego nie zawali. Jeśli jednak ów ktoś jest intelektualistą i poucza ludzi co do ich moralnego współistnienia, to może się od tego zawalić z biegiem czasu wiele struktur społecznych, a nawet (jak mówią pewne teorie historyczne dotyczące Grecji starożytnej) – cała kultura.

Dlatego człowiek będący wielką osobowością, obdarzony talentem i posiadający ogromny dorobek w dziedzinie nauki lub sztuki nie jest w istocie mędrce i autorytetem moralnym, jeśli głosi zło: nawołuje do brania narkotyków, jak Tynan i Fassbinder, promuje przemoc, jak Mailer i Sartre, uzasadnia lub usprawiedliwia totalitaryzm, jak Rousseau, Marks, Gollancz. Nie jest także mędrce i autorytetem ten, kto głosi publicznie dobro, a prywatnie w swym życiu zadaje kłam swoim deklaracjom, kto „na wszystkich dachach” obwieszcza dobro ludzkości płynące z zasad wolności, sprawiedliwości i godności każdego człowieka, a w jego życiorysie dominuje kanon tyranii rodzinnej (jak u Tołstoja i Marksa), erotyczno-ekonomicznego uzależnienia i wyzysku kobiet (jak w przypadku Brechta lub Sartre’a), czy po prostu manipulacji i kłamstwa (przykład Hellman i znów Brechta). Taką jest natura rzeczywistości, o której mówimy i o której mówi książka Johnsona. Być autorytetem moralnym to co innego niż grać rolę takiego autorytetu. Godność wychowawcy w dziedzinie wartości etycznych obliguje do strzeżenia jednności poglądów i pos-

tępowania, dzieła i życia. I trzeba powiedzieć, że niektórym nawet się to udaje. O kilku z nich (Wilson, Orwell, Waugh) Johnson pisze również.

Charakterystyczne, że wartością decydującą o faktycznym byciu lub niebyciu mędrcom i autorytetem jest prawda. Nie rzeczywistość wykreowana przez środowisko lub mass media, lecz p r a w d a – obiektywna, powszechna, sprawdzona przez tysiącletnie używanie i wcześniej czy później dostępna dla ludzi. O generalnym fałszu sztucznych pomników stawianych od dwustu lat w naszej kulturze stanowi otoczka fikcji, skrupa wykreowanej idei („zgodności z pierwotną naturą”, „postępu”, „zaangażowania” i innych), która zasłania rzeczywistość żywych ludzi. Johnson przekłwa ten balon uczonych słów, haseł i sloganów – i rzeczywistość zaczyna skrzeczeć: wewnętrzną sprzecznością, gigantyczną pychą i egoizmem oraz kompletnym nieliczeniem się z pojedynczymi ludźmi przez tych, którzy ex cathedra ukochali ludzkość. Pomniki się chwieją.

Szczególną dezaprobatę wyraziło wielu recenzentów książki odnośnie do przenikającego całe dzieło zaufania Johnsona do sądu „przypadkowego przechodnia”, będącego „równie rozsądną opinią” o kwestiach wartości, co sąd intelektualisty. Wyczuwało się w takiej reakcji recenzentów wyraźny kult eksperta – także w dziedzinie moralnej. Być może również nostalgię za okresem dawno minionym („proletariat niedojrzałym wychowankiem Partii”) oraz nieco mniej minionym – kiedy to polska inteligencja twórcza była uważana i uważała siebie za „sumienie narodu”.

Tymczasem słowa Johnsona wyrażają pewną oczywistość, w teologii

chrześcijańskiej znaną od św. Pawła. Chodzi o suwerenność sumienia każdego człowieka w rozpoznawaniu prawdy, w tym zwłaszcza prawdy o dobru i złu moralnym. Ważne są dzieła, prawdziwe autorytety, rzetelni wychowawcy i Kościół. Oni wszyscy bowiem przechowują pamięć moralną ludzkości i przypominają współczesnym, jak należy żyć. Jednak ostateczny sąd w konkretnej sytuacji wydaje jednostkowy człowiek! I to on sam podejmuje decyzję co do swego postępowania. Jest też za nią sam odpowiedzialny. Czy człowiekiem tym jest niski urzędnik, kierowca, chłop, profesor uniwersytetu czy bezrobotny – każdy odrębnie jest w stanie rozpoznać prawdę i musi wziąć za nią odpowiedzialność. Taka jest natura człowieka. Ten fakt afirmuje z niejakim entuzjazmem Johnson w zakończeniu *Intelektualistów* (s. 382-383).

Jest to bardzo istotny punkt w całej dyskusji nad *Intelektualistami*. Zdanie o „tuzinie osób zatrzymanych przypadkowo na ulicy” wywołuje różne i bardzo znaczące reakcje. Można powiedzieć: określa syndrom „przypadkowego przechodnia”.

Albowiem zwrócenie uwagi na suwerenną moc umysłu każdego człowieka odnośnie do prawd ważnych życiowo, a ponadto okrzyk: „Strzeżcie się intelektualistów!” – to wyraz sprzeciwu Johnsona wobec podstawowego punktu programu społecznego, do którego przyzwyczaił nas „pracujący” od dawna w dziedzinie ducha nurt socjalistyczny, czy ogólniej mówiąc lewicowy. Główną jego zasadą od początku do dziś jest – „wychować społeczeństwo”. Główna jego teza na temat struktury społecznej brzmi: „społeczeństwo jest nieświadomione – słuszną ideę posiadają tylko

koryfeusze-nauczyciele”. Słysząc w tym echo tezy Jean-Jacquesa Rousseau: „obywatel dzieckiem państwo ojcem”. Ta filozofia owocowała różnymi taktykami. „Rząd dusz”, „sumienie narodu”, „inżynieria społeczna” (forma najbardziej radykalna), czy ostatnio „oddziaływanie mass mediów” – to różne przejawy tej samej intencji socjotechnicznej. Przyjmuje ona formułę: dopasować społeczeństwo do idei.

Rzecz jasna, ogłoszenie dzisiaj, że prawda istnieje niezależnie od wielkości i rozgłosu nauczycieli i że każdy może dojść do niej na własną rękę, musi wywoływać odruch niezadowolenia u zwolenników elitarnego rządzenia duszami. Wprawieni od lat w pełnieniu funkcji arbitrów w dziedzinach literatury, sztuki i klasyfikacji kierunków filozoficznych i politycznych na lepsze i gorsze, uważają za naturalne pełnić funkcję ekspertów także w dziedzinie życia moralnego. Ostatnio, najogólniej rzecz biorąc, ich teza jest *relatywistyczna*. Moralność – głoszą – jest obojętna dla wielkości człowieka. Liczy się format intelektualny i osobowościowy twórcy. No i – dzieło. Moralność, to, czy geniusz bije żonę i oddaje dzieci do przytułku, czy czyni zupełnie przeciwnie, jest jego sprawą prywatną. Religia do kruchty, brudy prać we własnym domu – skąd my to znamy?

„Intelektualista” z książki Johnsona to nie postać arbitralnie ustanowiona, projekt sarkazmu i fobii autora. Cała książka stanowi w pewnym sensie definicję opisową „intelektualisty świeckiego”, ukazując jednocześnie proces, który w dzisiejszym języku trzeba by nazwać awansem intelektualistów liberalnej lewicy w dziejach kultury.

Od okresu Oświecenia narasta wyraźnie fala kultury zlaicyzowanej i zdesakralizowanej. Rousseau jest rzeczywiście jej symbolicznym ojcem; Prometeusz – wskrzeszonym mitem, który zastąpił Boga. Albowiem nicią przenikającą całą ponad dwustuletnią historię tego nurtu jest odrzucenie przez jego reprezentantów wszelkiej instancji *transcendentnej*, czyli wartości nie będącej wytworem samego człowieka. Wszystko, co tradycyjnie związane jest z wartością absolutną, a więc obiektywna prawda, bezwyjątkowe normy moralne, małżeństwo i rodzina, wreszcie wiara religijna mająca swoje oparcie w Kościele – uległo z biegiem czasu zakwestionowaniu, a następnie odrzuceniu. Rousseau, Schelley, Ibsen oraz Tołstoj stanowili pierwsze szczyty tej fali. Zacytujmy Johnsona: „Po raz pierwszy w historii człowiek zdecydował się twierdzić, coraz pewniej i śmielej, że może [...] znaleźć recepty, które ulepszą nie tylko strukturę społeczeństwa, ale i utrwalone nawyki istot ludzkich” (s. 9). Świecki intelektualista żyje przekonaniem, że „idee wyczarowane z niczego mogą przekształcić świat i ludzi” (s. 283).

W pewnym sensie znajdujemy się obecnie w okresie kulminacji tej fali. W „naszym tragicznym stuleciu” zebraliśmy owoce dojrzewające w dużym stopniu pod wpływem słońc intelektów wymienionych w książce angielskiego historyka. Prawdą jest, że tyrania i bestialstwo polityczne istniały nawet pod nieobecność intelektualistów. Jednak to właśnie w naszym wieku „okrucieństwo idei” państwa czystego klasowo oraz czystego rasowo dotknęło miliony istnień ludzkich. Terroryzm istniał od dawien dawna, lecz to w tym

wieku zaczął funkcjonować pod sankcją ideową sformułowaną na głos i rozpropagowaną szeroko m.in. przez Sartre'a i innego noblistę Bölla. Zbrodnia dzieciobójstwa występuje od wieków w historii ludzkości. Jednak dopiero w drugiej połowie XX wieku przekonano dużą część społeczeństw, że od prawa do zabicia dziecka nie narodzonego zależy ich szczęście. Uczynili to intelektualiści opisywani przez Johnsona.

Nie, nie ulega wątpliwości: pojęcie intelektualisty, będącego bohaterem tej książki, jest ściśle określone. Johnson nie poświęca żadnego z jej fragmentów na przykład Dostojewskiemu, Newmanowi, Chestertonowi, von Bonhoffowi, Wojtyśle lub Edycie Stein – choć ci są również intelektualistami w istotnym sensie tego słowa. Albowiem bohaterem tej książki jest intelektualista lewicy. Najpierw raczkujący w „gigantach buntu”, takich jak Tolstoj i Ibsen, potem fanatycznie oddany jednej idei i utopii z nią związanej, jak Marks i Brecht, wreszcie zmieniony, nowoczesny i permissywny – lewicowy liberał w typie Chomsky'ego, Mailera i Hellman.

Jedną z bardziej zajmujących stron lektury książki Johnsona jest właśnie odsłanianie i odczytywanie istoty postawy intelektualisty świeckiego przejawiającej się w wielkich postaciach tego nurtu.

Pierwszą cechą tej postawy jest wyższość ogólnego nad jednostkowym, idei nad konkretnym człowiekiem. „Ludzkość przez duże «L» była ważniejsza od mężczyzn i kobiet, od żon, synów i córek” – pisze Johnson (s. 210). Wiąże się z tym cecha następną: utopizm radykalności działania. Intelektualista lewicowy jest przekonany,

że jednym ruchem, aktem bądź gestem (społecznym, politycznym czy prawnym) można naprawić rzeczywistość. Ta złudna cecha stała u podstaw doktryny marksistowskiej – jednak zniesienie własności prywatnej nie doprowadziło do krainy szczęśliwości. Trzeba powiedzieć na użytek naszego własnego podwórka, że ta sama cecha wywołała po 1989 roku długi, bo trwający cztery lata, jęk zawodu lewicowych intelektualistów w Polsce, skutkiem czego w wyborach 19 września '93 zwyciężyła „utopia retrospektywna”.

Kolejna istotna cecha to kultura własnej wolności. Intelektualista – pisze Johnson – „sądzi, że może przemodelować zasady życia po swojemu” (s. 192). To cecha, która wiąże lewicowość z liberalizmem, ale powoduje często sprzeczność postawy. Idea każe jedno, ale wolność pozwala na co innego. Absolutyzacja wolności pociąga deprecjację prawdy. Tej zwyczajnej, będącej zgodnością myśli i rzeczy. Bardzo afirmuje się Prawdę przez duże „P” – prawdę ideologiczną, rewolucyjną itp. W jej świetle jednak musi zblednąć prawda rozpoznawana przez pojedynczego człowieka.

Stąd podatność tego nurtu na „poświęcenie prawdy przez małe «p» w imię Prawdy wyższej”, czyli po prostu – na posłużenie się kłamstwem i manipulacją. Nie zawsze zresztą „Prawda wyższa” ma konotację społeczną, niekiedy jest nią żądza sławy lub przewodzenia. „Wyższa konieczność” jest tu w stanie usprawiedliwić wiele takich aktów, które w oczach człowieka ufającego na co dzień prawdzie przez małe „p”, są przekroczeniem, perwersją lub zbrodnią.

Ta charakterystyka jest w książce Johnsona o wiele pełniejsza niż nasze

tutaj wyliczenie. Szczególnie interesujące są analizy zgody intelektualistów na przemoc i gwałt wobec innych (strony 357-377). Z całości wyłania się powoli postać kogoś, u kogo na plan pierwszy wybija się „roszczenie, by przewodzić społeczeństwu” i „pouczać ludzkość” (s. 9), samemu będąc w uprzywilejowanej pozycji regulowanej jedynie własną wolnością. To jest intelektualista świecki.

Praktyczne konsekwencje takich przedsięwzięć intelektualno-demaskatorskich, jak to Johnsona, dotyczą wbrew pozorom nas wszystkich. Wymiar praktyczny kultury to przede wszystkim sfera tych wartości, którymi żyją ludzie. Jeden z dynamizmów tego wymiaru polega na odkłamywaniu kul-

tury. Jak się zdaje, pod koniec XX wieku weszliśmy w szczególnie intensywny okres powrotu do pytań o prawdę w kulturze. (Johnson pisze w zakończeniu książki o narastaniu „publicznego sceptycyzmu”.) Wystarczy. Do uzdrowienia kultury i moralności potrzeba dziś przede wszystkim odkłamania kultury z fałszywych idei i pseudoautorytetów oraz rozpoznania prawdziwych wartości. Niech zwykli ludzie sami poznają, co jest autentycznym dobrem i komu można wierzyć. To nie jest takie trudne i to wystarczy w aspekcie korzyści dla kultury ogólnoludzkiej. Z pewnością – biorąc pod uwagę rankingi czytelnicy – książka Johnsona jest ważną (choć raczej tylko negatywną) częścią w tym procesie.